

Edzio



BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

Edzio

I

Na tym samym, co my, piętrze domu, w wąskim i długim skrzydle od podwórza mieszka Edzio ze swoją rodziną.

Edzio nie jest już dawno małym chłopcem, Edzio jest dorosłym mężczyzną o głosie tubalnym i męskim, którym czasem śpiewa arie operowe.

Edzio ma skłonność do korpulencji¹, jednakowoż nie do tej gąbczastej i miękkiej formy, ale raczej do atletycznej i muskularnej odmiany. Jest on silny w ramionach jak niedźwiedź, cóż z tego, kiedy nogi jego, całkiem zwyrodniałe i bezkształtne, są niezdatne do użytku.

Nie wiadomo właściwie, gdy się patrzy na nogi Edzia, na czym polega to dziwne kalectwo. Wygląda to tak, jakby miały one za wiele przegubów, między kolanem a kostką, co najmniej o dwa stawy więcej niż normalne nogi. Nic dziwnego, że w tych nadliczbowych stawach załamują się żałośnie i to nie tylko na boki, ale i ku przodowi, i we wszystkich kierunkach.

Edzio porusza się tedy przy pomocy dwóch szcudłał, szcudłał doskonałej roboty, pięknie na mahoń politurowanych. O tych szcudłałach schodzi codziennie na dół kupować gazetę i to jest jedyne jego spacer i jedyne urozmaicenie. Przykro jest patrzeć na jego przeprawę przez schody. Jego nogi wyboczą się nieregularnie to w bok, to ku tyłowi, załamują się w niespodzianych miejscach, a stopy, jak kopyta końskie, krótkie i wysokie, stukocą jak kłody po deskach. Ale znalazłszy się na płaszczyźnie, Edzio zmienia się niespodziewanie. Wyprostowuje się, tors jego wzdyma się okazale, a ciało bierze rozmach. Wspierając się na szcudłałach jak na poręczach, wyrzuca daleko przed siebie nogi, które uderzają z nierównym tupotem w ziemię, potem przenosi szcudła z miejsca i z nowego rozmachu znów wyrzuca się z mocą naprzód. Takimi rzutami ciała zdobywa on przestrzeń. Nieraz, manewrując szcudłałami na podwórzu, może on w nadmiarze sił, nagromadzonych długim siedzeniem, z prawdziwie wspaniałą pasją demonstrować tę heroiczną metodę lokomocji ku podziwowi służących z parteru i pierwszego piętra. Kark jego wówczas pęcznieje, pod brodą zarysowują się dwie fałdy podbródka, a w ukośnie trzymanej twarzy, z zaciśniętymi od natężenia ustami, pojawia się ukradkiem bolesny grymas. Edzio nie ma żadnego zawodu ani zajęcia, jak gdyby los, obarczając go brzemieniem kalectwa, w zamian za to zwolnił go cichaczem od tej klątwy dzieci Adama. W cieniu swego kalectwa Edzio korzysta w całej pełni z tego wyjątkowego prawa do próżniactwa i w cichości ducha zadowolony jest ze swej prywatnej niejako, indywidualnie zawartej transakcji z losem.

Nieraz zastanawiamy się jednak nad tym, czym wypełnia sobie czas ten dwudziestokilkuletni młodzieniec. Dużo zajęcia daje mu czytanie gazety. Edzio jest gruntownym czytelnikiem. Uwagi jego nie uchodzi żadna notatka ani żaden anons². A gdy dobieje wreszcie do ostatniej stronicy dziennika, nie czeka go przez resztę dnia nuda, o, bynajmniej. Wówczas dopiero zaczyna się właściwa praca, na którą Edzio się już z góry cieszy. Po południu, gdy inni kładą się na poobiednią drzemkę, Edzio wyjmuje swoje wielkie,

Kaleka

¹korpulencja (daw.) — otyłość. [przypis edytorski]

²anons (daw.) — ogłoszenie. [przypis edytorski]

grube książki, rozkłada je na stole przy oknie, przygotowuje klej, pędzel i nożyce i zaczyna swoją miłą i interesującą pracę wykrawywania najbardziej interesujących artykułów i wcielania ich na zasadzie pewnego systemu w swoje książki. Szczudła stoją na wszelki wypadek przygotowane, oparte o parapet okna, ale Edzio nie potrzebuje ich, gdyż ma wszystko na podorędziu, i tak wśród skrzętnej pracy upływa kilka godzin do podwieczorku.

Co trzeci dzień Edzio goli swój rudy zarost. Lubi tę czynność i wszystkie jej rekwizyty: gorącą wodę, pieniące się mydło i gładką, łagodną brzytwę. Rozrabiając mydło, ostrząc brzytwę o pas skórzany, Edzio śpiewa nie uczenie i nie kunsztownie, ale raczej bezpretensjonalnie i z pełnej piersi, a Adela twierdzi, że ma przyjemny głos.

Jednakowoż w domu Edzia nie wszystko poza tym zdaje się być w porządku. Panuje tam niestety między nim a rodzicami jakiś bardzo poważny rozdzźwięk, którego tło i podłoże są nieznane. Nie będziemy powtarzali domysłów i plotek, ograniczając się do stwierdzonych empirycznie faktów.

Zdarza się to zazwyczaj pod wieczór, o cieplej porze roku, gdy okno Edzia jest otwarte, że dochodzą nas odgłosy tych nieporozumień. Słyszymy właściwie tylko jedną połowę dialogu, partię Edzia mianowicie, gdyż replika jego antagonistów, ukrytych w dalszych ubikacjach mieszkania, nie dochodzi do nas.

Trudno jest z tego domyślić się, co zarzucają Edziowi, ale z tonu jego reakcji wnosić można, że jest on do żywego dotknięty, doprowadzony niemal do ostateczności. Słowa jego są gwałtowne i nierozważne, podyktowane nadmiernym wzburzeniem, ale ton, choć zaperzony, jest jednak tchórzliwy i nędzny.

— Tak jest — woła on płaczliwym głosem — to i co z tego?... — Kiedy wczoraj? — Nieprawda! — A jeżeli tak? — No to tata kłamie! — I tak ciągnie się to całe kwadrans, urozmaicone tylko wybuchami żalu i oburzenia Edzia, który bije się w głowę i wyrwa sobie włosy z bezradnej wściekłości.

Ale czasami — i to jest właściwą pointą tych scen, która zaprawia ją specyficznym dreszczykiem — następuje to, na co z zapartym oddechem czekaliśmy. W głębi mieszkania zdaje się coś walić, jakies drzwi otwierają się z trzaskiem, jakies meble przewracają się z hukiem, potem rozlega się rozdzierający pisk Edzia.

Słuchamy tego wstrząśnięcia i pełni wstydu, ale i niesamowitej satysfakcji, jaka budzi się na myśl o dzikim i fantastycznym gwałcie dokonanym na osobie atletycznego, choć w nogach bezwładnego młodzieńca.

II

O zmierzchu, gdy już naczynie po wczesnej kolacji jest umyte, siada Adela na ganku od strony podwórza, niedaleko okna Edzia. Dwa długie, dwukrotnie załamane ganki obiegają podwórze, jeden na parterze, drugi na wysokości pierwszego piętra. W szparach tych drewnianych balkonów rośnie trawa, a w jednej szczelinie między belkami wystrzela nawet mała akacja i chwije się wysoko nad podwórzem.

Oprócz Adeli siedzą tam przed swoimi drzwiami tu i ówdzie sąsiedzi, zwiśli na krzesłach i na karłach³, wędnąc niewyraźnie w zmierzchu, siedzą pełni znoju dnia, jak worki związane i nieme, czekające, by je zmierzch łagodnie rozwiązał.

W dole nasiąka podwórze szybko ciemnością, fala za falą, ale w górze powietrze nie chce się wyrzec światła i świeci tym jaśniej, im bardziej zwęgła się wszystko w dole i czernieje żalobnie — świeci jasne, drgające i migotliwe, ćmiąc się od niewyraźnych nietoperzych lotów.

Ale w dole zaczęła się już prądka i cicha robota zmierzchu, tam mrowi się od tych szybkich, żarłocznych mrówek, które rozbierają, roznoszą na szczątki substancję rzeczy, objadają je aż do białych kości, do szkieletu i żeber fosforyzujących majaczkliwie na tym smutnym pobojuwisku. Te białe papiery, szmaty na śmietniku, te nie strawione piszczele światła ostają się najdłużej w robaczywej ciemności i nie mogą się skończyć. Raz po raz zdaje się, że już je zmierzch pochłonął, a potem znowu są jeszcze i świecą, co chwilę gubione przez oczy pełne wibracji i mrówek, ale przestaje się już rozróżniać między tymi resztkami rzeczy a rojeniami oka, które wtedy właśnie zaczyna bredzić jak we śnie, aż każdy

³karło (daw.) — rodzaj fotela o krzyżujących się nogach. [przypis edytorski]

siedzi we własnej aurze jak w chmurze komarów, obtańczony gwiezdny rojowiskiem pulsującym mózgiem, majaczną anatomią halucynacji.

Wtedy zaczynają z dna podwórza podnosić się te żyłki powiewów, niepewne jeszcze swej egzystencji i już rezygnujące z niej, nim dojdą do naszej twarzy, te smugi świeżości, którymi podbita jest od spodu, jak jedwabną podszewką, fałdzista noc letnia. I podczas gdy na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy migotliwe i wciąż zdmuchiwane, rozdziela się bardzo powoli ten duszny welon zmierzchu, utkany z wirowania i majaczeń, i otwiera się z westchnieniem noc letnia głęboka i pełna w swej głębi miału gwiezdny i daleki rechotu żab.

Adela kładzie się bez światła do łóżka w zmiętą i wytarzaną z poprzedniej nocy pościel i zaledwie przymyka powieki, zaczyna się ta gonitwa po wszystkich piętrach i wszystkich mieszkaniach domu.

Tylko dla niewtajemniczonych jest noc letnia wypoczynkiem i zapomnieniem. Zaledwie kończą się czynności dnia i mózg spracowany chciałby usnąć i zapomnieć, zaczyna się ta bezwładna krzątanina, ten splątany, ogromny rozgardiasz nocy lipcowej. Wszystkie mieszkania domu, wszystkie pokoje i alkierze⁴ pełne są wówczas gwaru, wędrowki, wchodzenia i wychodzenia. We wszystkich oknach stoją lampy stołowe z umbrami⁵, nawet korytarze są jasno oświetlone i drzwi zamykają się i otwierają bez ustanku. Jedna wielka, bezładna, na wpół ironiczna rozmowa płacze się i gałęzi wśród ciągłych nieporozumień przez wszystkie komory tego ula. Na piętrze nie wiedzą dokładnie, o co chodzi tym z parteru, posyłają posłańców z pilnymi instrukcjami. Lecą kurierzy przez wszystkie mieszkania, schodami do góry, schodami na dół, zapominają po drodze instrukcji, odwoływani wciąż z powrotem po nowe zlecenia. I zawsze jest coś do uzupełnienia, zawsze jeszcze sprawa pozostaje nie wyjaśniona i ta cała krzątanina wśród śmiechów i żartów nie doprowadza do rozwiązania.

Tylko boczne pokoje, nie wciągnięte w ten wielki bałagan nocy, mają swój czas odrębny, odmierzany tykaniem zegarów, monologami ciszy, głębokim oddechem śpiących. Tam śpią mamki⁶ rozłożyste i nabrzmiałe mlekiem, śpią przyssane żarliwie do łona nocy, z płonącymi w ekstazie policzkami, a niemowlęta błądzą po ich śnie, z zamkniętymi powiekami, wędrują pieszczotliwie jak węszące zwierzątka po błękitnej mapie żyłek na białych równinach tych piersi, łążą delikatnie, szukając ślepą twarzą ciepłego rozporu, wejścia do tego snu głębokiego, aż znajdują czuлыми ustami pypkę snu, zaufaną sutkę pełną słodkiego zapomnienia.

A ci, którzy w łóżkach swych pochwycili sen, już go nie puszczaają i walczą z nim jak z aniołem, który się wyrzywa, aż go zmogą⁷ i przyduszą do pościeli i chrapią z nim na przemiany, jakby kłócili się i wypominali sobie gniewnie dzieje swej nienawiści. A kiedy te żale i kwasy zamilkną ukojone i cała ta gonitwa rozprasza się i gubi po kątach, pokój za pokojem zapada w ciszę i w niebyt — wchodzi subiekt⁸ Leon omackiem po schodach, wchodzi powoli z butami w rękę i szuka kluczem w ciemności dziurki w zamku. Wraca jak co nocy z lupanaru⁹, z oczyma przekrwionymi, wstrząsany czkawką i z nitką śliny ciągnącą się z ust rozchylonych.

W pokoju pana Jakuba pali się lampa na stole, a on sam, zgarbiony nad stołem, pisze list do Chrystiana Seipla i Synów, przedalnie i tkalnie mechaniczne, list na wiele stron długi. Na podłodze leży już długi ciąg zapisanych arkuszy, ale do końca jeszcze daleko. Co chwilę zrywa się od stołu i biegnie dookoła pokoju, z rękoma w rozwichrzonych włosach, i kiedy tak kołuje, zdarza się, że wchodzi w przelocie na ścianę, leci wzdłuż tapet jak wielki niewyraźny komar, uderzając majacznie w arabeski deseni ściennych, i znów zbiega na podłogę, kontynuując swój natchniony bieg dookolny.

Adela śpi głęboko, jej usta są rozchylone, twarz wydłużona i nieobecna, ale jej spuszczone powieki są przezroczyste i na ich cienkim pergaminie pisze noc swój cyrograf, na wpół tekst, na wpół obrazy, pełne kreśleń, poprawek i gryzmołów.

⁴alkierz (daw.) — mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

⁵umbra (daw.) — abażur. [przypis edytorski]

⁶mamka — kobieta karmiąca piersią nie swoje dziecko. [przypis edytorski]

⁷zmóc (daw.) — pokonać. [przypis edytorski]

⁸subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

⁹lupanar (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

Edzio stoi w swym pokoju do połowy obnażony i gimnastykuje się ciężarkami. Potrzebuje on dużo sił, w dwójnasób dużo sił w ramionach, które zastępują bezwładne nogi, i dlatego ćwiczy gorliwie, ćwiczy potajemnie całymi nocami.

Adela odpycha wstecz, za siebie, w nieobecność, i nie może krzyknąć, zawołać, przeszkodzić temu, by Edzio wyłąził przez okno.

Edzio wyłązi na ganek nie uzbrojony w szczudła i Adela patrzy z przerażeniem, czy nogi go udźwigną. Ale Edzio nie próbuje chodzić.

Jak wielki biały pies zbliża się w czworonożnych przysiadach, w wielkich szurgających skokach po dudniących deskach ganku i już jest przy oknie Adeli. Jak co nocy przyciska swą bladą, tłustą twarz z bolesnym grymasem do lśniącej od księżycy szyby i mówi coś płacziwie, natarczywie, opowiada z płaczem, że mu zamykają na noc kule do szafy i teraz musi biegać po nocach jak pies na czworakach.

Adela jest jednak bezwładna, całkiem oddana głębokiemu rytmowi snu, który przez nią przepływa. Nie ma sił nawet, by wciągnąć koldrę na obnażone uda, i nie może nic poradzić, że przez ciało jej wędrują pluskwy, szeregi i kolumny pluskiew. Te lekkie i cienkie listki-kadłuby biegną przez nią tak delikatnie, że nie czuje najmniejszego muśnięcia. Są to płaskie torebki na krew, rude mieszkki na krew, bez oczu i bez fizjonomii¹⁰, i teraz maszerują całymi klanami, wielka wędrowka ludów podzielona na pokolenia i na rody. Biegną od nóg krociami, niezliczoną promenadą, coraz większe, tak wielkie jak ćmy, jak płaskie pugilaresy¹¹, jak wielkie czerwone wampiry bez głowy, lekkie i papierowe na nóżkach subtelniejszych od pajęczyny.

Ale gdy ostatnie spóźnione pluskwy przebiegły i znikły, jeszcze jedna, olbrzymia, i potem ostatnia — robi się całkiem cicho i podczas gdy pokoje nasiąkają powoli szarością świtu, płynie przez puste korytarze i mieszkania głęboki sen.

We wszystkich łózkach leżą ludzie z podciągniętymi kolanami, z twarzą gwałtownie w bok odrzuconą, głęboko skupioną, zanurzoną w sen i bez granic mu oddaną.

Jak któryś dorwał się snu, tak go trzyma kurczowo z żarliwą i bezprzytomną twarzą, podczas gdy oddech, wyprzedzając go daleko, błądzi samopas¹² na odległych drogach.

I jest to właściwie jedna wielka historia podzielona na partie, na rozdziały i na rapsody rozdzielone między tych śpiących. Gdy jeden przestaje i milknie, drugi podejmuje jego wątek i tak idzie to opowiadanie tam i sam szerokim, epickim gzygzakiem¹³, podczas gdy leżą w pokojach tego domu bezwładni jak mak w przegrodach wielkiej, głuchej makówki i rosną na tym oddechu ku świtowi.

¹⁰fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

¹¹pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

¹²samopas (daw.) — sam jeden. [przypis edytorski]

¹³gzygzak — dziś popr.: zygzak. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-edzio>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.